



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Wiesław Kuligowski

## Ja – „Claus Kugler”

### Z lat germanizacji 1942-1945

Urodziłem się 13 maja 1934 roku we wsi Topola Wielka powiat Ostrów Wielkopolski. Mama zmarła w 1940, braciszek kilka miesięcy później. W 1941 zmarli babcia i dziadek. W tej sytuacji w 1941 na dalsze wychowanie wzięła mnie siostra mojej babci Weronika Śnioch i jej mąż Jan zamieszkali w tej samej miejscowości. Rodzina była wprawdzie liczna, ale nikt nie chciał mnie wziąć, tłumacząc to okupacją i trudnymi czasami. Nowi wychowawcy mieli 15-letnią córkę Joannę i 7-letnią córkę Władysławę. Chcieli, żebym mówił im mama i tata, ale świeża pamięć o śmierci matki spowodowała, że mówiłem im: ciocia i wujek. Wujek Jan pracował z nakazu okupantów u volksdeuscha Kwiatkowskiego, który miał duże gospodarstwo rolne. Za pracę wujek otrzymywał tzw. deputat na każdą osobę. Ja byłem w rodzinie piąty, więc Kwiatkowski nie był z tego zadowolony i wydał mnie Niemcom (tak po wojnie wyjaśnił mi to zająście wujek). Do chwili wywiezienia mnie ich starsza córka Joanna codziennie uczyła mnie pisać i czytać, co później okazało się bardzo pomocne. Na początku 1942 przechodziłem badania lekarskie, w wyniku których służba zdrowia organizacji „Lebensborn E.V” uznała, że jestem odpowiedniej rasy, nadaję się na zgermanizowanie i będę dobrym Niemcem. I tak się zaczęło. Mój szlak germanizacyjny wiódł trasą: Kalisz – Munchen – Oberweis – Kalisz – Oberweis – Salzburg – Taxenbach.

### Kalisz: („Gaukinderheim” in Kalisch – Warthegau)

Tu przywieziono mnie i kilku innych z punktu zbiorowego w ośrodku zdrowia w Ostrowie Wielkopolskim. W Kaliszu przysposabiano nas w byłym klasztorze na ul. Górnośląskiej dla III Rzeszy. Uczono intensywnie języka niemieckiego, chwalono Hitlera, Niemcy i ich zwycięstwa. Ten niemiecki wchodził mi trudno do głowy i dlatego wiele razy dostawałem lanie od naszych nowych wychowawców, którymi byli niemieccy funkcjonariusze, jakieś kobiety mówiące po polsku i niemiecku oraz siostry zakonne, również mówiące w obu tych językach. W maju 1943 usiłowałem dociec, kim były te siostry zakonne, które pomagały w germanizacji dzieci polskich. Otrzymałem odpowiedź, że mogły to być Ślązaczki, „volksdeutschki”, a najlepiej się tym teraz nie zajmować. Okres adaptacyjny w Kaliszu trwał 6-7 miesięcy i w tym okresie zadbano, aby nie było żadnych kontaktów z dotychczasowymi rodzinami. Moja ciotka Weronika umiała dobrze po niemiecku, odwiedzała urzędy niemieckie w gminie Przygodzice i w powiecie Ostrów, aby mieć legalny kontakt ze mną. Dano jej do zrozumienia, aby natychmiast zaprzestała

tych zabiegów, zapomniała o mnie, bo jestem już „deutsche kinder”. Wyraźnie jej powiedziano, że w przeciwnym wypadku czeka ją Auschwitz. Ciotka wiedziała, że jestem w Kaliszu, bo pod zmylnym nadawcą, przez robotników polskich wywożących śmieci, wysłałem krótki list informacyjny. Do końca pobytu w Kaliszu nie widziałem się z nikim z rodziny. Jak ja wówczas nienawidziłem Niemców. Miałem już 8 lat, byłem sprytnym chłopcem, tęskniłem bardzo za najbliższymi i kolegami. Myślałem nawet o ucieczce, ale nie znalazłem odpowiedniego kumpla do tego celu. Wszyscy byli przytłumieni i zastraszeni. W Kaliszu mogliśmy jeszcze mówić po polsku, ale pod żadnym pozorem nie wolno było kontaktować się z Polakami. Pamiętam jak dziś, że całe wieczory w ciszy i skupieniu przeznaczaliśmy na modlitwy, aby zmienił się nasz los. Nasi wychowawcy byli czujni, nawet wśród kolegów i koleżanek wypytywali o nasze myśli i zamiary.

## München. Monachium

Tu wszystko się zmieniło. Porządek jak w wojsku. Pobudka, capstrzyk, cisza po obiedzie. Nauka, musztra, podział na drużyny i surowy zakaz mówienia po polsku. Wychowawcami byli SS-mani w czarnych mundurach tzw. Panzerjager SS, ale pomagały im również kobiety mówiące tylko po niemiecku. Prawdopodobnie były to nazistki, bo na własne oczy widziałem, co wyrabiały na oddziale niemowlaków i maluchów. Wyżywienie było marne, na obiady przeważnie pastewna żółta brukiew, raz krojona w kostkę, innym razem jak kapusta na surówkę, na inne posiłki przeważnie czarny chleb i marmolada. Wszyscy chudli. Po bokach widoczne były żebra. Największą frajdą było dostać się do drużyny w kuchni do mycia olbrzymich garów. Dla niemowlaków i maluchów gotowali kaszkę mannę, a my te gary tak łyżkami wyskrobywaliśmy, że nie było właściwie co myć. Podczas takiej jednej pracy w kuchni zauważyłem, jak na stołówce maluchy modliły się do obrazu Hitlera, a z dziurki w suficie od czasu do czasu spadał cukierek. Dzieci wołały „mein liebe Fuhrer”, rzucaly się w kierunku słodczy, a niekiedy wyrwały sobie tego cukierka. Pamiętam, że na tym oddziale niektóre dzieci miały najwyżej roczek, nie mówiły po polsku, a jedynie dwa słowa: „papa” i „mutter”. Dziś kto wie, co się z nimi stało?

Za każde nieposłuszeństwo SS-mani karali, przeważnie karę wyznaczał dyżurny SS-man, jak pozbawienie posiłków, bicie po dłoniach skórzanym pejcem. Na co dzień było również bicie dłonią lub pięścią w twarz, w zależności od humoru wychowawcy. Jeśli kara bez posiłków wynosiła 2, 3 lub więcej dni, to otrzymywało się tylko raz dziennie chleb i czarną gorzką kawę zbożową. Stosowano również zamykanie w ciemni (w piwnicy). Opisuję tylko to, co pamiętam i co sam przechodziłem. Pewnego razu wyprowadzili nas na najbliższe pola po ogłoszeniu alarmu lotniczego. Idziemy czwórkami polną drogą, obok rosły pomidory, wyskoczyłem z ostatniej czwórki, zerwałem dwa pomidory. Jak wstępowałem do szeregu pech chciał, że odwrócił się jeden SS-man i zauważył to. Nic nie powiedział, ale w kilka minut po powrocie do ośrodka wezwano mnie na dyżurkę SS-manów, trzech z nich skoczyło na mnie, dwóch trzymało, a trzeci bił pejcem. Rzucam się i kładłem na podłogę. Ustawili mnie wtedy za dużym, ciężkim krzesłem dębowym i przywiązali ręce do siedzenia krzesła. Wówczas ja nie mogłem się prawie ruszyć, a oni bili po dłoniach, że aż krew tryskała. Dalej nie pamiętam, bo straciłem przytomność. Wrzucili mnie między metalowe drzwi, na schody betonowe prowadzące do piwnicy. Koledzy mówili mi potem, że byłem nieprzytomny 3-4 dni. Po wojnie zastanawiałem się, dlaczego tak zbili za dwa pomidory. Wujek tłumaczył mi, że nie za pomidory, ale za kradzież, bo Niemcy nie lubili złodziejstwa. Obok nas za drutem kolczastym był obóz jeńców francuskich, którzy w miarę możliwości pomagali nam i litowali się nad nami. Przez druty podawali nam cukierki i inne słodczy, nie było to zbyt często. Oni mogli otrzymywać paczki z domu. Francuzi wysyłali nam listy do rodzin, znów pod zmylnym nadawcą. Moja rodzina stąd wiedziała, gdzie jestem. Trzeba było uważać na SS-manów, odwracać ich uwagę, pojedynczo docierać do ogrodzenia i przekazywać francuskim jeńcom nasze listy. Mimo trudności jakoś się udawało. Francuzi tłumaczyli nam, że wojna niedługo się skończy, trzeba będzie wracać do rodzin, a jak zapomniemy języka polskiego, to nikt nam nie uwierzy, że jesteśmy Polakami.

My starsi chłopcy w wieku 8-15 lat zrozumieliśmy to w lot, a właściwie przystąpiliśmy do działania. Codziennie po capstrzyku (po godzinie 22), gdy pogaszono światła i słychać było odgłos kroków dyżurnego SS-mana wchodzącego na dyżurkę, zbieraliśmy się w 4-5 na jednym łóżku i po ciemku przyciszonym głosem mówiliśmy do siebie po polsku, aby nie zapomnieć ojczyściej mowy. Były wpadki, nieraz nas podsłuchano, nieraz ktoś słaby wydał nas. Bito i karano, a my w skrytości robiliśmy swoje. Musieliśmy tak czynić, bo po przyjeździe do Munchen dowiedzieliśmy się, że nie jesteśmy tymi, kim dotychczas byliśmy. Ja, Wiesław Kuligowski, odtąd nazywam się Claus Kugler urodzony 20 kwietnia 1934 (jak na ironię zbieżność z urodzinami Adolfa Hitlera) w miejscowości Posen, wyznanie ewangelickie. Takimi dokumentami posługiwałem się do końca wojny, w strefie amerykańskiej po II wojnie i w czasie nielegalnej podróży do Polski w sierpniu 1945. Wtedy o Ruskich różnie mówiono, bałem się ich i na ich widok zniszczyłem niemieckie dokumenty, aby nie wysłali mnie znów do Niemiec. Miało to miejsce

w Ostrawie Czeskiej. Znalazłem dwie dorosłe osoby spod Sieradza, które potwierdziły moją tożsamość. Wówczas nie miałem żadnego polskiego dokumentu.

Tu w Munchen nastąpiła selekcja. Starszych chłopców i dziewczyny powysyłano do adopcji do rodzin niemieckich. Młodszych przewieziono do kolejnego ośrodka germanizacyjnego w Oberweis koło Gmünden w Austrii. Rozdzielono mnie ze starszym o 4 lata kolegą Marianem Wojtaszkiem, również z Topoli Wielkiej. Nie wiem, co stało się z niemowlętami i maluchami, bo do dnia mojego wyjazdu do Oberweis były jeszcze w München. Po nas przywieziono do München następne grupy polskich dzieci.

## Oberweis Alpenland

Tu role wychowawców spełniali również mundurowi, ale byli również z Wehrmachtu, bo Komen-dant z opaską czarną na jednym oku chodził w zielonkawym mundurze. Dalej dryl pruski, porządek wojskowy, od pobudki do capstrzyku zajęcia, szkolenie, musztra i gry. Jedzenie marne, bez zmian podobnie jak w München. Tu również wykorzystujemy każdy chwilowy brak nadzoru nad nami w dzień lub w nocy i rozmawiamy ze sobą po polsku. Po niemiecku umiem już dobrze pisać i czytać. Żadnych kontaktów z osobami postronnymi, nawet z Niemcami. Starsi koledzy znów przechytrzyli naszych nadzorców. Dowiedzieli się, że w Oberweis są dobrzy Austriacy i nocami na krótko wykradali się, by przekazywać do wysyłki nasze listy do rodzin. I znów moja ciotka Weronika z rodziną wiedzieli, gdzie jestem. Listy przekazywano również niezauważenie podczas wyprowadzania nas w teren. Nie wiem, jak to organizowano, ale na trasie naszego przemarszu mijał nas jakiś „przypadkowy” cywil i jeden z kolegów przekazywał mu nasze listy. Jeżeli w danej chwili był obserwowany, to przekazywanie listów nie następowało dla bezpieczeństwa jednej i drugiej strony. Nasze przekazane listy były wysyłane z innych miejscowości, bo na poczcie w Oberweis wprowadzono ścisłą cenzurę. Wszystkie ośrodki germanizacji dzieci polskich podlegały bezpośrednio Himmlerowi w Berlinie i były otaczane ścisłą tajemnicą nie tylko przed całym światem, ale nawet przed własnym społeczeństwem.

Po wyzwoleniu oficerowie z armii generała Andersa mówili nam, że listy pomagał nam wysyłać Austriacki Ruch Oporu. Niemcy nie rozpieszczali nas. Cały czas byliśmy poddani twardej pruskiej dyscyplinie i szkoleniu. Latem 1943 zorganizowano dla nas obóz wojskowy pod namiotami za miejscowością Gmünden na łąkach nad jeziorem Traunsee. Ubrano nas w mundurki, przydzielono karabiny z bagnietami bez amunicji. Miałem 9 lat, karabin z nałożonym bagnietem był wyższy niż ja. Od pobudki do capstrzyku intensywnie nas szkolono: musztra, biegi, nauka walki wręcz, zadawanie ciosów bagnietem w tarczę z sylwetką lub manekina. Miało to być potrzebne do zadawania ciosów „polnische banditen”. Nocami organizowano alarmy, zbiórki, sprawdzenia.

W Oberweis też miałem pecha. Pewnego dnia wypuścili nas na plac. Pobiegłem na wzgórze, gdzie pod metalowym ogrodzeniem rósł duży orzech włoski i tam sobie usiadłem na ziemi. Za chwilę przyszedł do mnie oficer SS w długich butach, bił sobie pejcem po lewej dłoni i rozkazał mi wejść na ten orzech i rwać mu owoce. Na widok pejca dostawałem szoku. Błyskawicznie znalazłem się na drzewie, złamała się krucha gałąź i spadłem z wysokości kilku metrów na plecy.

Leżałem ponad 2 tygodnie nieprzytomny w izolatce. Sprawę wyciszono, tak jakby się nic nie stało. Zaprowadzono mnie z powrotem na oddział, do szpitala mnie nie zawieźli, ale tego oficera już więcej nie widziałem. W Oberweis zdarzały się również dziwne rzeczy. Było kilka ucieczek starszych chłopaków. Po każdej ucieczce było częste liczenie i sprawdzenia. Nic nam nie mówiono, w obozie nie organizowano alarmu. W okolicy natomiast pełno patroli z psami, obstawione drogi i stacje kolejowe. Pamiętam, że żaden z uciekinierów nie został z powrotem przywieziony do Oberweis. Starszych chłopców, którzy kończyli 15 lat, małymi grupami wywożono z Oberweis w nieznanym kierunku. Po wojnie amerykańscy oficerowie z Dywizji Powietrzno Desantowej w miejscowości Zell am See mówili mi, że 15-16-letnich chłopców spotykali na froncie przy granicy francuskiej. Nie wiedzieli, co z nimi robić, dla hecy ucinali im nogawki i w krótkich spodniach puszczały wolno. W rozmowach chłopcy mówili, że donosili do frontu na pierwszą linię amunicję. Kim oni byli, Amerykanie nie wnicali. Niemcom grunt palił się już pod nogami. Latem 1944 dużą grupę chłopców i dziewcząt polskich przetransportowano do Salzburga.

## Kalisz

We wrześniu 1943 trasą przez Wiedeń, Pragę i Wrocław znów znalazłem się w Kaliszu z kilkunastoma kolegami. Tym razem traktowano nas wyjątkowo dobrze. Naszym zadaniem było tylko to, żeby chłopcom i dziewczynkom w Kaliszu opowiadać, że w Oberweis jest pięknie i dobrze, żeby same chciały tam jechać. Trwało to tylko kilka tygodni. Wraz z dużą grupą polskich dzieci wróciliśmy do Oberweis.

## Salzburg „Lager Partsch”

Tu ulokowano nas w barakach u podnóża skalistej góry na peryferiach miasta. Wewnątrz góry wydrążone były tunele przeciwlotnicze. Codzienne bombardowania, w dzień Anglicy, w nocy Amerykanie. Nas pędzono biegiem do tych tuneli na sygnał syreną „Przed-alarm”. Wiele razy nie zdążyliśmy dobiec do góry, a syreny wyły na „alarm” i samoloty pojawiały się nad nami.

Tu odłamkami czy odpryskami zostałem ranny w obie nogi. Znow leżałem w izolatce kilka tygodni, ale zostawiali mnie w baraku, nie pędzili do tunelu. Ciągłe życie w napięciu i w strachu. Na przemian modliłem się o przeżycie i pocilem się ze strachu. To było jak piekło na ziemi. Później zrozumiałem, że obóz w Salzburgu był przejściowym etapem. Stąd wysyłano nas pojedynczo pod nadzorem do rodzin niemieckich w III Rzeszy i w Austrii do adopcji. Trafiłem do miejscowości Texenbach w Austrii.

## Texenbach

Przydzielono mnie pod koniec sierpnia 1944 do rodziny H. Bruggera w Texenbach. Mieli „Gasthaus” i gospodarstwo rolne. Pan Brugger był ranny na froncie wschodnim, stracił oko, nosił czarną opaskę. Ciągłe nosił brunatny mundur i kaburę z pistoletem. Bardzo się go bałem, ale on się mną nie zajmował. Na froncie wschodnim stracili też jedyne go syna. Pani Bruggerowa zajmowała się restauracją. Był tam też służący narodowości ukraińskiej lat około 30. Znał kilka języków. Z nim się zaprzyjaźniłem. I znow pech, pani Brugger nakryła mnie podczas rozmowy po polsku z Ukraińcem. Od tego czasu byłem bity za te spotkania, rozmowy po polsku i za to, że nie chciałem mówić ani mama, ani ciocia, tylko „Frau Brugger”. Pamiętałem, że moja mama zmarła, gdy miałem 6 lat, umierała na moich oczach, klęczałem przy łóżku i trzymałem zapaloną gromnicę. Ciotki zaś miałem w Polsce. Pani Brugger ciągle mnie obserwowała i przydzielała robotę. Do maja 1945 chodziłem do miejscowej Szkoły Publicznej do piątej klasy. W niedzielę, dni wolne lub niekiedy po południu ładowano mi plecak i torby: miałem nosić w góry do ich rodziny różne sprawunki. Na drogę powrotną ładowano mi bochenki sera. Najgorzej było pod górę. To była dla mnie katorżnicza trasa. Było mi ciężko, za darmo mnie nie karmili. Jednak wyżywienie było lepsze niż w München i Oberweis. To jednak nie pomagało, byłem wygłodzony, została ze mnie skóra i kości. Dopiero w wieku 15 lat zacząłem wyglądać normalnie. Mimo zakazu, potajemnie spotykałem się z tym Ukraińcem, rozmawialiśmy po polsku, choć wiele słów już zapomniałem. On miał ukryte radio na strychu pod podłogą i systematycznie informował mnie o sytuacji na frontach. Pan Brugger był szefem policji w tym miasteczku i dobrze, że nas nie przyłapał. 7 maja 1945 o godz. 13 w południe wjechali do Texenbach Amerykanie na czołgach z akordeonami i flagami. Radość i entuzjazm nie miały granic. Nie tylko obcokrajowcy, ale i miejscowi cieszyli się z zakończenia wojny. Już następnego dnia 8 maja o godzinie 8 mój przyjaciel ukraiński narysował mi na kartce szkic marszruty do międzynarodowego obozu dla cudzoziemców w Zell am See. Wsadził mnie do pociągu, a sam wrócił do Texenbach, bo jak mówił miał jeszcze coś do załatwienia. Kazał wysiąść na stacji Brucke i dalej pytać i iść pieszo. Tak dotarłem do obozu w Zell am See, a stamtąd do polskiego obozu w Salzburgu. Miałem wiele propozycji. Adopcję u pułkownika do USA, wyjazd do Włoch i Hiszpanii. Postąpiłem po swojemu. Wykorzystałem nieuwagę wartowników amerykańskich na stacji kolejowej Salzburg w poniedziałek 13 sierpnia i wskoczyłem do jadącego już transportu do Polski. Przez 2 tygodnie dobrzy ludzie pomagali mi z paczek UNRRA przeżyć. Nie było mnie na liście transportu, nie było więc racji żywnościowej, a podczas kontroli ukrywali mnie, bo jechałem nielegalnie. Udało się. W niedzielę 26.08.1945 stanąłem w domu rodziny w Topoli Wielkiej. Nie poznali mnie, bo wyglądałem jak wygłodzony więzień z Oświęcimia. Właśnie myśleli, że wracam z Oświęcimia i długo, długo płakali nad moim wyglądem i losem. Tak w skrócie przebiegał okres mojej germanizacji w latach 1942-1945. Miałem szczęście, bo przeżyłem i żyję. Wiele polskich dzieci tego szczęścia nie doczekało.

Nakładem wydawnictwa „Śląsk” w 1960 ukazała się książka Romana Z. Hrabara pt. „Hitlerowski rabunek dzieci polskich (1939-1945). Urowadzenie i germanizowanie dzieci polskich w latach 1939-1945”. W tej książce podano, że te dzieci, które nie nadawały się do zgermanizowania, kierowano do zakładu pod nazwą „Medizinische Kinderheilstalt” oddział B w Lublińcu, gdzie podawano przetwory barbiturowe, a przede wszystkim luminal w dużych dawkach do 0,1-0,6 i 1,0 weronalu dziennie, bez względu na wiek. Słabe dzieci umierały po krótkim czasie, czasem nawet po kilku dniach. Początkowo wymiotowały, niektóre pozornie przyzwyczyły się, niekiedy zataczały się, były oszołomione, jadły jednak dobrze, biegały, bawiły się. Inne reagowały silniej, znajdowały się stale w półśnie, leżały blade, bezwładne, budzono je tylko do jedzenia. Po pewnym czasie dzieci miały wysoką gorączkę, przestawały jeść, charczały, z ust wydobywała się piana, niekiedy krwawa, w końcu umierały. Jako przyczynę śmierci podawano przeważnie zapalenie płuc, chcąc w ten sposób zatrzeć ślady popełnionej zbrodni.

---

Roman Z. Hrabar w tejże książce pisze, że z ponad 200 000 tys. wywiezionych polskich dzieci do roku 1960 powróciło do kraju 15-20%. Wiadomo, że po 1960 już nie wracały. Co stało się z blisko 200 tysiącami polskich dzieci?

Tego problemu od zakończenia II wojny światowej nikt nie wyjaśnił. Po zakończeniu wojny w Polskiej Misji Międzynarodowej Czerwonego Krzyża w Salzburgu (może i innych punktów) wywożono polskie dzieci do Włoch i Hiszpanii. Czy wszystkie wróciły do kraju? Wstydliva to sprawa nie tylko dla Niemiec i międzynarodowej społeczności, ale również dla wszystkich rządów PRL i III RP. Tego tematu nikt nie podjął, a polskie dzieci ciągle oskarżają!